

Włodzimirz Zagórski

DIABLE
WIANO



Włodzimierz Zagórski

Diabeł wiano

(Nowela fantastyczna)

.....

Fundacja FESTINA LENTE

Nawet i diabłu może się zdarzyć przypadek...

Mądra to szelma, przezorna i — jak to mówią — kuta na wszystkie cztery, chociaż wiadomo, że jegomość ten dwoje ma rąk, a jedną tylko stopę i jedno kopyto, tak, iż kto wie, czy w Pacanowie nawet, gdzie przecie kozy kują, umiano by go podkuć na wszystkie cztery, jak się patrzy.

Więc też powierza diabeł kucie swych kończyn wyłącznie tylko majstrowi z piekła i dlatego to właśnie zdarzają mu się niekiedy przypadki. Bywa albowiem, że mu się jedna lub druga podkova obluzuje na tej śliskiej drodze, po której zwykle chadza ladaco; a że piekielnych majstrów nie ma wtedy pod ręką, żaden zaś kowal ziemski (niechaj to czytelnikom, uprawiającym to sławetne rzemiosło, nie ubliża!) nie jest w stanie naprawić mu obuwia, więc też kuleje diablisko — sztykul! sztykul! — ślizga się i potyka co chwila, aż wreszcie — brzdęk! — pada jak długi... Piekło się wówczas trzęsie ze złości, zaś aniołkowie śmieją się do rozpuku i trzepoczą skrzydełkami z uciechy!...

Bywa także czasami, że diabeł — aczkolwiek sprytny i przezorny kanalia — coś przeoczy, o czymś zapomni lub wreszcie coś zgubi w podróży. Zdarza mu się to zwykle, gdy łyknie za wiele smoły gorącej na

śniadanie lub gdy się zawieruszy w towarzystwie młodej jakiejś czarownicy. Wszelako przypadki diabelskie tego rodzaju mają to do siebie, że jemu samemu (to jest diabłu) nie przynoszą szkody, a ludziom z nich nie wyrasta nigdy pożytek... Wiadomo przecież, że i „diabli kaftan” nie cieszy i nie grzeje tych, którym się dostanie w udziale...

...Owóż, niedawno temu, bo w sam dzień wigilii Nowego Roku, wybrał się imćpan diabeł do Warszawy, z torbą pełną noworocznych podarunków dla swej warszawskiej klienteli. Po drodze wstąpił do swej kумы, młodej, a w kunszcie swym wytrawnej czarownicy, która go przyjęła wspaniałym obiadem. Było tam pieczone serce bezlitosnego skąpca, były paszteciki z mózdzku bezdusznej zalotnicy, były marynowane żądła zjadliwych plotkarek, była galantyna ze starej ropuchy, był wreszcie olbrzymi gar smoły, płonącej żółtym płomieniem — słowem uczta jakich mało — rozumie się uczta dla diabelgo podniebienia!...

Diabeł, łakomy jak wszyscy diabli, nie dał się długo prosić swej uprzejmej gospodyni. Jadł za czterech diabłów, pił za ośmiu, aż wreszcie spił się tak, jak to diabli spić się umieją. Po czym — i tutaj właśnie na jaw wychodzi złośliwa diabelska natura — nie poszedł za świątobliwym ojca Noego przykładem i nie udał się do arki na spoczynek, lecz wzięwszy swą torbę podróżną, podążył ku Warszawie, by tam czym prędzej zanieść zgubne swe podarunki.

Późno już było, gdy wszedł do miasta. Drobnym śnieżkiem prószył, siekąc go jakby igiełkami po twarzy.

Zdumionym okiem powiódł po ulicy, na której piętrzyły się kupy pozmiatanego śniegu.

— Czy to Warszawa, czy nie Warszawa? — mruknął, nie mogąc się zorientować.

Podszedł ku tablicy, która tam wisiała na rogu wielkiego jakiegoś budynku, oświetlona blaskiem gazowej latarni, i odczytał napis na niej widniejący.

— Tak, to Warszawka! — szepnął uspokojony. — Ano, spiłem się, nie ma co mówić... A wszystkiemu winna ta szelmutka!... Ciągle tylko dolewa, a prosi: „pij, lubciu, pijże serce moje!...” Któżby nie pił, kiedy smoła taka dobra, a ona tak prosi, by jej nie odmawiać?

I pogwizdując walczyka z „Nietoperza”, podążył w stronę miasta, gdzie miał złożyć swe dary.

Ale trunek piekielny mroczył mu głowę i plątał chwiejące się nogi. Śniegowe góry wyrastały raz wraz jakby spod ziemi i zastępowały mu drogę co chwila. Wymijając je, a unikając spotkania nocnych stróżów, by przypadkiem który nie dostrzegł końskiego kopyta, zabłąkał się diablisko w tym śnieżnym labiryncie, tak iż po całogodzinnej wędrówce znalazł się znowu na miejscu, z którego pochód swój rozpoczął. Co gorsza, spostrzegł, iż torbę zgubił w tej podróży.

— Do diabła! — zaklął bezbożnym diabelskim obyczajem.— Nie będę mógł obdarzyć przyjaciół mych przy Nowym Roku!... Gotowi jeszcze pomyśleć, zem o nich zapomniał.

Zanadto dobrze jednak znał ludzką naturę, by się długo martwić tą stratą, na której ostatecznie, jako diabeł, mógł tylko zyskać jeszcze. Wiedział, iż

przyjaciele jego potrafią broić i bez jego pomocy, oraz że ten, co torbę znajdzie, nie omieszka obrócić zawartych w niej upominków piekła na pożytek. Więc też nie tracąc czasu, rozpostarł poły swego płaszcza i kazał się wiatrowi zanieść z powrotem do swej młodej czarownicy.

Niechajże tam sobie siedzi!... Przyjemnej zabawy!...

Podczas, gdy imćpan diabeł urządził powyższą „rozdobędę”, siedziało w pewnym szynku na placu Grzybowskiem kilku szewców, pijąc piwo z „harakiem” i rozmawiając o dziurach i latach tego tandetnego świata.

— A ja wam padam, co ten świat jest jak but podarty — mówił dobrze już cięty kum Onufer. — Cholewa jeszcze niczego: może wytrzymać... Ale reszta, to nic wart, to same dziury!...

— Cha, cha, cha!... Same dziury! — zaśmiali się jego towarzysze.

— Tu nie pomogą żadne przyszczyпки — prawil dalej wymowny Onufer. — Tu nawet i zelówka nie pomoże... Trzeba dać całe podszycie: nowy wierzch i nowy spód!

— Dobrze mówi Onufer — potwierdzili szewcy — nowy wierzch i nowy spód!

— Nu, a kto będzie tym wierzchem? — spytał pan Chaim Papiermacher, przysłuchujący się od dłuższej chwili zza szynkwasu tej rozmowie.

Kum Onufer podparł się ręką pod bok, patrząc na szynkarza zamglonymi oczyma.

— Juścić nie Żydzi — odparł z powagą.

— Cha, cha, cha!... Oto mu uciał — zabrzmiało dokoła.

— Ja sze nie pytam, kto nie będzie, tylko kto będzie? — rzekł, nie zrażając się, pan Chaim.

— A któż ma być wierzchem?... Wierzchem będą szewcy — tłumaczył Onufer.

— A krawcy? — zapytał krawiec, siedzący przy drugim stole.

— I krawcy także — zapewnił wspaniałomyślnie zagadniony.

— A mosiężnicy? — ozwał się głos jakiś od lady.

— I mosiężnicy!... Wierzchem będą wszyscy rzemieślnicy — objawił łatacz współczesnego porządku. — A Żydzi pójda pod spód.

— Sprawiedliwie mówi, cha, cha, cha!... Dalibóg sprawiedliwie — przytwierdzono ze wszystkich stron.

— No, a jeżeli Żyd jest szewcem albo mosiężnikiem? — zagadnął znowu pan Chaim — co z nim będzie wtedy?

— Co ma z nim być? — odparł pan Onufer. — Pójdzie pod spód!

— Cha, cha, cha! — parsknęli śmiechem słuchacze.

— Wiecie co, panie Onufer? — rzekł na to szynkarz. — To wielgie szczęście, co ten szwat nie jest podartym butem i co wam go nie oddadzą do reperacji, bo wy byście całkiem sfuszerowali te robotę... Na moje sumienie, co by wtedy było jeszcze gorzej, jak jest.

— O, widzicie go! — zaśmieli się znowu szynkowni goście.

— Cha, cha, cha! Ja wiem, co by gorzej było, ale tylko dla was — szydził Onufer.

— I dla nas, i dla was, i dla wszystkich — odparł pan Chaim.

— Dlaczego? — zawołało kilka głosów.

— Widzicie panowie, to jest taki interes — jał mówić szynkarz. — Dekarz albo kominiarz, to woni chodzą po dachu jak sprawiedliwy kot. Woni nie spadną stamtąd i w głowie im sze nie kręczy, choć wysoko, a czasami ślisko, co aż strach... A wiecie panowie, dlaczego?... Dlatego, co dekarz albo kominiarz, won do tego od małoszczy nauczony; won już do tego przywyknął... A wy, czy byście to potrafili?

— Oj, oj!... Czemu nie!

— Ja myślę, co nie; ja myślę, co by wam sze w głowie zakręciło.

— No, ale cóż to ma do tego, o czym się gadało? — zapytał pan Onufer.

— To ma do tego, co pan jest panem — odparł pan Chaim. — Jemu sze w głowie nie kręczy być panem, bo won do tego nauczony od dzecko; won już do tego przywyknął... Won da na szpital, won da na biednych, won da na tanie kuchnie, dlatego, bo mu sze w głowie nie kręczy i won widzi, co jest i co potrzeba... A wy, panie Onufer, jakbyście panem byli, to by wam sze tak w głowie zakręczyło, co byście tego wszystkiego wcale nie widzieli.

Popijając i gwarząc wesoło o koniecznym podszyciu tego dziurawego świata, zabawiała się kompania jeszcze dłuższy czas. Wreszcie oznajmił

stójkowy, pukając do drzwi szynku, że czas już położyć koniec tej zabawie. Wtedy, wypiwszy jeszcze po kieliszku gorzkiej na drogę, rozeszli się wszyscy, każdy w swoją stronę.

Dziwne rzeczy działały się na ulicy, gdy pan Onufer pożegnał swych towarzyszków. Gazowe latarnie wywijały różnego oberka, kamienice i parkany krzeszały hołubca, potracając co chwila zmierzającego ku domowi łatacza społecznego porządku.

Zrazu bawiła go ta heca; kroczył więc chodnikiem uśmiechnięty, wołając od czasu do czasu dobrodusznie: „No, uważaj przecież!” — w nadziei, że tym napomnieniem oprzytomni rozszalałych taneczników. W końcu jednak, gdy go jakiś zwariowany parkan bolesnym poczęstował szturchańcem, zakipiał gniewem.

— Czego chcesz, psia krew? — wrzasnął rozjuszony.

I podniósłszy w górę zaciśniętą pięść, chciał potężnym razem ugodzić napastnika. Parkan jednakże uniknął ciosu, odskoczywszy piorunem na przeciwną stronę ulicy.

Wtedy, pokiwawszy głową, powiedział sobie, że nie warto po nocy wszczynać awantur z grubianami i poszedł dalej środkiem drogi, trzymając się teraz już z dala od płasających parkanów i kamienic. Wprawdzie potracąły go tutaj śnieżne kupy, wpadając na niego co chwila, uniesione piekielną jakąś galopadą, ale bądź co bądź zetknięcie się z nimi mniej już było bolesnym.

Nagle potknął się, nastąpiwszy na coś czarnego. Wydało mu się, że to człowiek leżący na ziemi i

przyszło mu na myśl, że dorożka może łatwo przejechać tego biedaka, który sobie ulicę obrał za poślanie.

Współczuciem tknięty zawrócił się i potracił go nogą.

— Wstawaj, pijaku, wstawaj! — rzekł, usiłując rozbudzić śpiącego.

Ale to, co leżało na ziemi, nie dawało znaku życia.

— Może to nieboszczyk? — pomyślał pan Onufer, usiłując się przybliżyć.

Wszelako niezbadana jakaś siła odtrącała go to w prawo, to w lewo, to naprzód, to w tył, tak iż nie mógł wykonać swego zamiaru. Wtedy, wzięwszy się na sposób, legł na ziemi i podpełzał na czworakach ku mniemanemu nieboszczykowi, który, jak się przekonał, był dużą podróżną torbą z lakierowanego juchtu, przyozdobioną monogramem ze złoczonego brązu.

Doznane wrażenia wytrzeźwiły go nieco. Puścił się ku cyrkułowi, by tam złożyć przedmiot znaleziony, ale niebawem obsiadły go myśli, które go odwiodły od tego zamiaru. Może to skarb, może majątek wielki? Po torbie można było wnosić, że właściciel jej musi być bogaczem. Rozciekawiony, pośpieszył do domu, zapalił świecę, otworzył torbę i począł ze wzrastającym zajęciem przeglądać jej zawartość.

Skarbu tam wprawdzie nie było, ale cóż za dziwne dziwy! Paczuski w ozdobnych zawinięciach, poprzewiązywane różowymi i błękitnymi wstążeczkami, każda opatrzona napisem, oznajmującym istotę zawartego w niej przedmiotu, tudzież osobę, dla której przedmiot ten był przeznaczony. Widocznie były to noworoczne

upominki, ale cóż za osobliwsze upominki!
Przeglądając je, wytrzeźwiał do reszty pan Onufer, a jednak „rozum mu stawał capka”, tak niepojętym było mu to, na co patrzył.

Było tam mydło do mydlenia oczu „dla żony, która kocha męża”, dwie talie bisotowanych kart „dla szczęśliwego gracza”, szczypczyki do ściągania siódmej skóry „dla sumiennego finansisty”, trąbka do reklamowania miernot „dla wzajemnej admiracji”, flaszeczka skoncentrowanej piany wściekłego psa „dla uczciwej konkurencji”, pantofle kalifa Omara, który spalił bibliotekę aleksandryjską „dla wiadomej kliki”; i ząb jadowitej żmii, która sobie zęby na pilniku połamała „dla Zoila”, i szydło szewca Herostratesa, i balsamowane ucho Midasa, i wiele, wiele innych przedmiotów, których tu wyliczać nie sposób.

Kum Onufer nie był żoną, kochającą męża, ani graczem, ani finansistą, ani księgarzem nakładca, ani Zoilem, więc też doznał zawodu, nie znalazłszy wśród tego stosu osobliwych rupieci nic takiego, z czego by mógł jakikolwiek dla siebie wyciągnąć pożytek. Przeznaczenia większej części tych przedmiotów nie rozumiał wcale, niektóre z nich jednakże obudziły w jego umyśle słuszne podejrzenie.

Rozmyślając, przyszedł do przeświadczenia, iżby źle było, gdyby mydło do mydlenia oczu dostało się do rak żony, kochającej swego męża, a szczypczyki do ściągania siódmej skóry stały się własnością jakiegoś tam finansisty. Mało to już i tak zgorszenia na tym

świecie? Ojej! Wszakże to i bez tego but podarty, domagający się gwałtem podszycia!

Więc też oburzony na tego łotra, który za pomocą tych osobliwych podarunków zamierzał bardziej jeszcze krzewić zło wpośród ludzi, postanowił nie zwrócić zguby jej właścicielowi, lecz zabrawszy się przy świętym poniedziałku lub raczej wtorku do roboty, pokrajać torbę i uszyć ze skóry uzyskanej parę lakierowanych bucików. W ten sposób nie dopuści do zgorzenia, a w dodatku wyciągnie dla siebie korzyść z przedmiotu, którym go obdarzył przypadek.

Nazajutrz, jako w dzień świąteczny, odwiedził po obiedzie swa narzeczoną, pannę Apolonię, która piastowała urząd kucharki u pewnych państwa przy ulicy Marszałkowskiej i zabrał ją z sobą do „Rozkoszy”, gdzie w wesołej kompanii spędzili wieczór na zabawie. Była to osoba już poważna i niegrzesząca wcale nadmiarem urody; mimo to trzymał jej się pan Onufer, mając z niej wygodę wedle opierunku. Przy tym dostarczała mu cukru i herbaty, tak iż artykułów tych nigdy nie potrzebował kupować; częstokroć przybiegała do niego i przynosiła mu kotlet, kawał pieczeni albo też leguminę jaką w papier owiniętą. Wszystko to były rzeczy, którymi nie wypadało pogardzać.

Ceniąc te przymioty swej narzeczonej, chodził więc do niej trzeci już rok, ale się wcale nie kwapił do żeniaczki. Panna Apolonia, srodze w swym chłopie rozkochana, przynaglała go, ażeby przecież raz już pomyślał o weselu, ale jej się zawsze umiał wykręcić, odkładając krok stanowczy od jesieni do wiosny, od

wiosny znowu do jesieni. Widocznie go nie korciło pozbyć się wolności kawalerskiego stanu. Zawszeć to kłopot z babą, a tym lepiej, im później się człowiek obarczy takim ciężarem.

Dopiero we wtorek rano pomyślał Onufer o robocie, a pomyślał o niej z niechęcią i obrzydzeniem. Po Nowym Roku przyszła sobota: nie warto zatem było zabierać się do pracy na jeden dzień. Po sobocie nastąpiła święta niedziela — dzień Pański, dzień wypoczynku! A po niedzieli poniedziałek, którego także święcie nie zaniechał sławetnym szewskim obyczajem. Wypoczynki te zmęczyły go były niezmiernie, więc też z ciężkim westchnieniem wziął do ręki torbę, z której miał wykroić materiał do roboty potrzebny.

Nie ma co mówić, jucht był doskonały, a lakier nigdzie nienadpsuty. Można więc było z uzyskanej skóry wysztyftować parę galantnych bucików, ale to nie ucieszyło pana Onufra tak wielce, jakby się tego można było spodziewać. Po prostu robić mu się nie chciało; byłby wolał spać albo też pójść do szynku, by tam klinem wybić dolegającego klina. Wszelako trudna rada, nie było pieniędzy i — trzeba było koniecznie zabrać się do roboty!

Jakoż, wyostrzywszy nóż, chciał się wziąć do prucia torby, gdy wtem z jej wnętrza ozwał się brzęk podobny do brzęku pieniędzy. Rozciekawiony, otworzył ją skwapliwie, i — o dziwo! — znalazł w niej siedem sztuk nowiutkich półimperiałów, błyszczących jak gdyby dopiero co wyszły z poci stempla. A to co takiego? Nie mógł pojąć, skąd się tam wzięły te

pieniądze! Wszak przeszukał był torbę dokładnie owego dnia, czyli raczej owej nocy, gdy ją znalazł na ulicy. No, no, widocznie musiał być pijanym jeszcze!

Wy tłumaczywszy sobie w ten sposób dziwną tę zagadkę, schwycił pieniądze w garść, wcisnął czapkę na głowę i pobiegnął do miasta.

Tydzień cały grasował, nie myśląc oczywiście o robocie. Pieniądze były w kieszeni, więc też go nie kusilo zabrać się do szydła i dratwy. Na co? Po co? Hulaj dusza, dopóki nie pęknie ostatni rubelek! Sypiał do południa, o południu wychodził do restauracji lub szynku, skąd powracał dopiero późną nocą, znajdując zawsze chętnych towarzyszków do hulanki.

Wyszeptawszy się po upływie tygodnia z pieniędzy, wziął znów do ręki torbę z ciężkim westchnieniem. I znowu powtórzyła się ta sama scena, która się rozegrała przed tygodniem — siedem półimperiałów, błyszczących jak słońce, wpadło mu znowu do ręki. Kum Onufer zrozumiał, iż posiada worek zaczarowany.

Zakreśliło mu się teraz w głowie, jak to ongi przepowiedział pan Chaim Papiermacher, szynkarz z Grzybowskiego placu. Pieniądze sypały mu się istotnie jak gdyby z worka; potrzebował tylko powziąć jakieś życzenie, a natychmiast znajdował w torbie środki do zaspokojenia pragnień swych potrzebne. Nie żałował też sobie niczego, coraz to nowe objawiając zachcianki. Zapragnął złotego zegarka z grubą jak palec dewizką, zaczarowana torba dostarczyła mu potrzebnych na zakup ten pieniędzy. Zachciało mu się futra — było

futro; sprawił sobie kilka garniturów, nakupił bielizny, ponakładał na wszystkie palce tyle pierścionków, iż ledwo mógł nimi poruszać. Jednym słowem dogadzał wszystkim fantazjom, które w nim nieustannie wzbudzał pieniądz, a o których mu się przedtem wcale nie śniło.

Oczywista rzecz, iż zostawszy panem, puścił kantem pannę Apolonię. Nie chodziło mu teraz o opierunek, a smakołyki kucharki utraciły były dla niego wszelką ponętę. Stosunek z kuchtą nie odpowiadał już teraz jego pojęciu i zajętemu w hierarchii społecznej stanowisku. Natomiast zrobił znajomość z żoną pewnego konduktora, młodą i przystojną blondynką, która chodziła w pluszowej rotundzie i w kapeluszu ze strusimi piórami, a nosiła brylantowe kolczyki w uszach, pierścionki na palcach i na rękach bransoletki. Pani konduktorowa była niegdyś kelnerką w jakiejś piwiarni. Gdzie, gdzie parzygnatowi do takiej osoby!

Osoba ta była kobietką wesołą i lubiącą się bawić, a umiejącą mydlić oczy mężowi, nawet i bez onego mydła, które niegdyś pan Onufry — jak go przezwała pani konduktorowa — wydobyl z zaczarowanej torby, a którego widok tak go onego czasu zgorszył i oburzył. Co prawda, przychodziło jej to z łatwością, mąż bowiem nie grzeszył zbyt sprytu, a na domiar, z powodu służby swej, rzadko kiedy przebywał w domu.

Korzystała też z tej swobody pani konduktorowa, wyciągając pana Onufrego do teatru, na maskarady, na kolacyjki w gabinecie i wtajemniczając go w rozkosze hulaszczego życia, o których przedtem nie miał

wyobrażenia. Miała, co prawda, zachcianki kosztowne; przepadała za ostrygami, a szampana doła jak smok, znając się na tych „używaniach” jeszcze z czasu, gdy była kelnerką. Przy tym darła w sposób bezwstydną tylko ze swego szarmanta. Ten jednakże nie zrażał się wcale, bo i dlaczegóż by się miał zrażać? Torba płaciła za wszystko.

Życie to podobało mu się wielce. Przyszedł do przeświadczenia, że Monopole Heidsiecka i Triple sec Curaçao lub Benedyktynka nierównie lepsze są od piwa z „harakiem”. Szczupak po parysku i *saluti* z kuropatw smakowały mu daleko lepiej niż schab z kapustą, który niegdyś poczytywał za specjał niezrównany. Jedynie tylko do ostryg i główki cielecej *à la tortue* nie mogła go przekonać jego mistrzyni. Zdaniem jego był nierównie smaczniejszym sardelek, nie mówiąc już o golonce.

Rozumie się, iż żyjąc w ten sposób, nie marzył już o podszyciu świata, który, jeżeli mu się jeszcze wydawał podobnym do buta, to chyba do lakierowanego, miękkiego, wygodnego i błyszczącego, a zrobionego na urząd przez najlepszego majstra. Zdaje się jednak, iż porównanie to nie nasuwało się jego umysłowi, i porwany wirem uciechy, nie zastanawiał się nad istotą świata. Zawróciło mu się było w głowie, jak to przepowiedział Chaim Papiermacher — tak, iż nie widział tego, co jest i czego potrzeba.

Raz jednakże zdarzyło mu się zetknąć z tą nędzą, której niedola tak go niegdyś roztkliwiała, a którą stracił był z oczu, nie spotykając jej nigdy na swych drogach.

Wróciwszy późną nocą z hulanki do domu, usłyszał, wstępując w bramę, płac żalosny, którego lament rozlegał się wśród nocnej ciszy.

— Co to jest?... Kto tam płacze? — zapytał stróża, który mu otwierał.

— .Nie wiedzieć, proszę pana — odparł zaspany odźwierny. — To u tej wdowy, co mieszka w suterynie... Podobno dziecko tam bardzo chore... Może umarło?

Litością zdjęty pobiegł pan Onufry do suteryny.

Na ubogim barłogu leżała w gorączce siedmioletnia może dziewczynka, z zamkniętymi oczkami, z główką owiniętą mokrym ręcznikiem. Przy niej klęczała zrozpaczona matka, wpatrując się przerażonym wzrokiem w te oczka przysłonięte ociężałą powieką, w to liczko płonące zarzewiem, w te wątle piersi podnoszące się z gwałtownym wysiłkiem dla pochwycenia oddechu, w te spieczone usta, z których się od czasu do czasu przez sen jęk bolesny wydobywał.

— Czemu pani tak rozpacza? — spytał pan Onufry z współczuciem.

— Ach, panie! — zawołała matka— dziecko mi kona, a ja go nie mogę ratować!

— Może pójść po doktora? — rzekł pan Onufry.

— Był doktor, był! — jęknęła wdowa.

— No i cóż?

— Zapisał receptę... Może by to pomogło biedactwu, może by się tak nie męczyło!... A ja nie mam pieniędzy na aptekę, ach!... I nie mogę odejść dzieciны, aby się postarać... Och, ta noc, ta noc!... O, ja

nieszczęśliwa!... Dziecko mi skona bez pomocy, ach, ach, skona z pewnością!

Pan Onufry sięgnął do portmonetki, zapomniawszy, że się nią tego wieczora bawiła pani konduktorowa.

— Daj mi pani receptę — rzekł, widząc, że go towarzyska jego zabaw doszczętnie ogołociła.

— Pobiegnę do apteki i przyniosę lekarstwo.

— Ach, panie, to Bóg chyba zesłał pana — zawołała wdowa, składając ręce jak do modlitwy.— Niechże panu Bóg nagrodzi za tyle dobroci.

— Uspokój się pani, uspokój!... Będzie dobrze — odparł wzruszony. — Ja skokiem wrócę... Zobaczysz pani, że będzie dobrze.

I wziąwszy receptę, pobiegł do swego pokoju, nie wątpiąc, iż mu torba dostarczy potrzebnych pieniędzy.

Ale zaczarowany worek, który zawsze tak skwapliwie czynił zadość jego żądaniom, gdy mu się nie chciało pracować, gdy na hulankę pragnął wyciągnąć swych towarzyszków, gdy chciał dogodzić fantazjom pani konduktorowej, gdy podarunkami okupował jej pieśczęoty, odmówił mu teraz posłuszeństwa. Próżno zagłębiał w nim rękę, przeszukując wszystkie jego zakątki: wyschło źródło, z którego dotychczas czerpał tak obficie.

Więc zdjął go lęk, iż czar służył mu tylko wtedy, gdy mu ku złemu drogę torował i rozwścieczony własną niemocą, potrząsł workiem gwałtownie, wołając:

— Pieniądzy!... Pieniądzy!...

Ale zamiast pieniędzy, wypadł z torby kamień ciężki z łoskotem na podłogę.

...Ranek zastał pana Onufrego, pogrążonego w ciężkiej zadumie. Okiem pełnym wstrętu i nienawiści wpatrywał się w leżącą na ziemi torbę, która szeroko rozwarta, czerwonym swym wnętrzem ziejąca, zdawała się uragać mu swym brązowym okuciem. Wspomnienie doznanego zawodu gniotło go nieznośnym brzemieniem. Poza nim leżało życie, które prowadził od czasu znalezienia zaklętej torby. Myśląc o nim, doznawał takiego wrażenia, jak gdyby się zbudził z dzikiego jakiegoś, ciężkiego snu, którego zmora mroziła mu jeszcze serce lękiem bez miary.

Spojrząwszy w okno, przez które zaglądały pierwsze brzaski świtu, ocknął się wreszcie z odrętwienia. Porwał czapki i pobiegł do Żyda, do którego się niegdyś udawał w potrzebie, i pożyczył od niego dwa ruble, przyrzekając, iż dług ten zapłaci za tydzień, skoro otrzyma zapłatę za najbliższą robotę. Uzyskane pieniądze obrócił na wykupienie lekarstwa dla chorego dziecięcia i zaniósł go stroskanej wdowie, truchlejąc, azali pomoc ta nie przybędzie za późno.

Uspokojony w tej mierze, powrócił do swej izdebki pełen otuchy. Przeżegnawszy się, wziął nóż do ręki i począł pruć torbę, z której wykroił parę galantnych bucików. Jeżeli się przypadkiem diabeł wówczas znajdował w podróży, a odczuł to, co się z jego workiem dzieje, to musiał potężnego kozła wyrócić.

Kto wie, może nawet i kark skrzył w tej przygodzie?

Włodzimierz Zagórski
Diabeł wiano

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINALENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-389-7

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINALENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl